

Z teatru o teatrze

Wallace z metafizyką

TEATR NARODOWY: G. K. Chestertona „Człowiek, który był czwartym”, sztuka w 3-ach aktach (11 obrazach). Adaptacja sceniczna Cecylii Chesterton i Ralfa Neale.

Zasadnicze zastrzeżenie na wstępie. Nie każda powieść nadaje się do przerobienia na scenę, a już chyba najmniej „Człowiek, który był czwartym”. Jest to bowiem książka, wymagająca ze względu na ujęcie tematu, zupełnie specjalnego traktowania. Jej tendencja i charakter mogą ulec na scenie wypaczeniu. Zobaczmy, czy tak się nie stało.

Bóg rządzi światem wedle ustanowionych przez siebie praw harmonii, która jest także wyrazem boskiej doskonałości. Czyny ludzi na ziemi pozornie tylko — swoją przypadkowością, brakiem koordynacji, często anarchizacją — naruszają tę harmonię. W rzeczywistości bowiem czyny ludzkie pośrednio ją utrwalają. Porządek ustalony przez Stwórcę, jest nie wzruszony. Beznadziejność i niepowodzenia postępów ludzi, za podszeptem szatana usiłujących dokonać zamachu na ów porządek, wykazują jedynie jego doskonałość.

Harmonia jest także istotą wszelkiego piękna w życiu. Ona też sprawia, że powracamy zawsze do ustalonego odwiecznego porządku iładu życiowego, kiedy wygaśnie bunt przeciwko codzienności. Harmonia daje ludziom spokój i pogodę. Pogodnie dźwięczy pęczę powstająca z odczucia harmonii; pęczę powstająca z anarchii, z buntu przeciwko porządkowi życia nie zdoła zmienić biegu spraw świata, a w duszach i sercach ludzi wzbudza tylko niepokój.

Dlatego anarchia budzić może tylko śmiech. Śmieszny jest człowiek walczący z harmonią świata, i nie widzący beznadziejności swych wysiłków, śmieszne są jego bunt przeciwko odwiecznym prawom, ustanowionym przez Stwórcę. Śmieszny nas, bo jego siły są tak niewspółmierne nikłe wobec mocy praw, a jego walki tak hałaśliwe wobec wiekuistego spokoju. Takie to refleksje budzi sztuka Chestertona.

Chesterton jest katolikiem nie tylko z imienia, więc poza chaosem ludzkich spraw, pragnień, walk i odczuć dostrzega zawsze pogodnie uśmiechnięte, dobroć oblicze Boga, Stwórcy i Kierownika świata.

Ale Chesterton jest także Anglikiem, więc jego pogląd na świat i jego stosunek do Stwórcy tego świata jest — angielski. Ten właśnie angielski charakter jego psychiki sprawia, że katolikom polskim Chesterton wydawać się może zbyt śmiały w wytworach swojej fantazji. Chesterton w pojmowaniu Boga i w wyrażaniu swoich

pojęć o Stwórcy jest istotnie śmiały, ale jego śmiałość nie ma w sobie nic bezbożnego szyderstwa, ma natomiast wiele z modlitwy, jak to słusznie zauważył prof. A. Tretiak.

Katolicyzm Chestertona jest tak szczerzy i bezpośredni, że uprawnia go niejako do równie szczerego i bezpośredniego stosunku do prawd religijnych. Dlatego też nie ma nic rażącego dla katolika w jego sztuce. „Człowiek, który był czwartym” może być bez przesady rozumiany jako wyznanie wiary człowieka, który na świat i ludzi nie umie patrzeć inaczej, jak z pogodą i z — humorem.

Treść sztuki pomyślana jest z taką fantazją, że przypomina chwilami sensacyjne powieści Wallace'a. Tajemniczy klub anarchistów, którego członkowie nie wiedzą o sobie nawzajem, kierowany przez równie tajemniczego prezesa, planuje szereg zamachów w celu zburzenia porządku świata. Obyczaje członków, rytuał posiedzeń są jakby żywcem przyjęte od łóż masonskich, czy innych towarzystw „obrzędów hermetycznych”.

Tymczasem okazuje się, że krwiożerczy anarchiści, to nikt inny, jak detektywi policyjni, walczący z anarchizmem, a tajemniczy prezes — to sam dyrektor Scotland Yard'u.

Pomysł wystarczająco dowcipny, aby zbudować na nim sensacyjną komedię.

Ale Chesterton idzie dalej. Pod symbolem dyrektora policji widzi samego Boga, całą akcję sztuki traktuje jako sen angielskiego gentlemena — poety, a w sensacyjną formę zamyka treść zbudowaną z problemów filozoficznych i religijnych. Całość traktuje z humorem, lecz bez cienia ironii.

Widowisko rzeczywiście w swoim rodzaju jedyne.

Widz polski jest nieco zaskoczony, nieco zdumiony, chwytą sens sztuki powoli, nie bardzo wie czy i kiedy wypada mu się śmiać, wzruszać, dziwi się więc i chłonie niezwykle widowisko.

A widowisko jest niezwykle nawet pod względem technicznym. Scena się obraca, dekoracje przesuwają (same!!!), lub zjeżdżają z góry, reflektory szaleją...

W wystawieniu sztuki w teatrze Narodowym włożono wiele wysiłku. W. Radulski nie szczędził trudów, aby widowisku nadać charakter ponurej sensacji. Udało mu się to całkowicie, pozostaje jednak kwestia otwarta, czy taka koncepcja była właściwa? Pomijając faki, że taka koncepcja odbiera sztuce jej lekkość i humor, czy nie należało więcej uwagi poświęcić treści — która przecież jest tu najważniejsza — choćby kosztem nieco mniejszych efektów strony wizualnej. Sztuka Chestertona, jest pod względem treści trudna dla widza polskiego, czy właściwą było rzeczą skupianie jego uwagi na stronie czysto widowi-

skowej? Myślę, że w ten sposób treść straciła na swej głębi.

Jeszcze drobna uwaga: czy nie zamało wyraziście oddano pomysłu Syme'a? Zdać się, że Chestertonowi zależało na tym, aby podkreślić, że wszystko było tylko snem poety. To ma swój sens.

Artyści mieli w tym wypadku zadanie ułatwione. Musieli nie tyle grać, ile mówić. Trzeba przyznać, że wszyscy właściwie i dobrze wywiązali się ze swych zadań. Dlatego wymienimy ich w kolejności obsady: Lucjana Gregora, poetę anarchii, w sztuce niejako symbol szatana, odtworzył Artur Socha, Syme'a, poetę harmonii i i porządku — Tadeusz Białoszczyński, prezesa Niedzieli — Aleksander Zelwerowicz. Trzy główne role obsadzone więc były właściwie i wypadły należycie. W pozostałych rolach wystąpili: Jan Ciecierski, Ziemowit Karpiński, Lech Sępowski, Janusz Strachocki (doskonała charakterystyka) i inni. Dekoracje, znakomicie zestrojone z linią reżyserską, opracował Andrzej Proszaszko, a ilustrację muzyczną — Roman Palester.

Stanisław Grzelecki

Pod ostrym kątem

„Numer specjalny”

Pisanie felietonów nie jest zajęciem intratnym. Dawno już przyjaciele radzili mi — bym wziął się do jakiejś bardziej rzeczowej roboty. Bo to i cenzor czasem otwórkami machnie i potem jest biała plama, i te parę złotych, za „kawalek” też nie zawsze pokrywa koszty własne. Wogóle — pod psem.

Dotychczas jednak nie miałem żadnego innego zajęcia na widoku. Teraz mam — i to bardzo intratne.

Założę pismo, które będzie wydawać numery poświęcone kulturze chińskiej, arabskiej, perskiej, angielskiej, francuskiej — potem — znów — numer poświęcony kulturze arabskiej, chińskiej, perskiej, angielskiej, francuskiej.

Koncert „Sżimi - Sżimi” da mi ogłoszenie na pół strony, koncert „Sżubi - Sżubi” na całą stronę. Towarzystwo elektryfikacji Góry Synaj (w numerze arabskim) także, koncert budowy zmotoryzowanych hulaj - nóg też... Interes aż miło — forsę jak lodu, słowem: byczo jest.

Mój przyjaciel Stas obiecał mi, że wyda numer specjalny poświęcony mojemu specjalnemu numerowi. Adas — przyjaciel Stasia ma wydać numer specjalny poświęcony numerowi specjalnemu Stasia, Zygmus — Adasia, Jas — Zygmusia...

Byczo jest. Ja zarobię, oni

Antysemityzm na Węgrzech



„Czy to pisarz węgierski?”

„Nie kupuj u żyda!”

„Nowa szlachta”.

Takie i wiele innych tego rodzaju naklejek przyklepia młodzież węgierska na sklepach i mieszkaniach żydowskich.

Hallo! Tu Hawaje!...
Rozrywki krótkofalowców

Marconi przy pomocy fal krótkich zapalił światła na wystawie w Sydney, siedząc w kabinie swego jachtu Elettra w zatoce Genueskiej...

Amator - krótkofalowiec z Kato-

wic usłyszał sygnały, dawane przez tonący statek na Oceanie Spokojnym...

Podczas powodzi w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, olbrzymie polacie kraju, setki tysięcy kilometrów kwadratowych były odcięte od świata. Jedyną łącznością była sieć krótkofalowa amatorska, oddana przez właścicieli na usługi władz...

Gdy H. Hertz uczynił swe pierwsze doświadczenia - z których powstała radiotechnika dzisiejsza, nie spodziewał się wcale, że dzieło jego, które traktował jako atrakcyjne doświadczenie laboratoryjne — stworzy w przyszłości ogromny przemysł, zatrudniający setki tysięcy ludzi i skurczy rozmiary globu ziemskiego, nieważąc przestrzeń i czas dla szybkiej myśli ludzkiej. I czynił te doświadczenia na falach krótkich. Gdy prace Herta poczęły rozwijać Marconi, Popow i Branly — znaleźli już sposoby wytwarzania fal dłuższych, dzięki czemu nawiązano komunikację radiową i powstała radiotelegrafia, a za

nią radiofonia. Fale krótkie, jako nie dające dużych efektów na odległości średnie — uznano za niepraktyczne i oddano do użytku amatorom: „bawcie się dzieci — dla poważnych zadań użyjemy fal o solidnej, przypo-

zwoitej długości”. Amatorzy poczęli się bawić. I kiedy zakresy fal od 200 do 600 metrów i od 1000 do 2000 metrów poczęły drgać mową, muzyką i wiadomościami ze wszystkich stron świata, kiedy jedna za drugą poczęły powstawać na tym zakresie fal rozgłośnie, przesłaniające się w doborze wyborczego programu, wierności nadawania i mocy, na falach krótkich umieszcili się z rzadka skromne stacyjki nadawczo-odbiorcze, o mocy kilkucyj w porównaniu z kolosami radiofonicznymi, i te stacyjki zaczęły naraz z sobą korespondować, bijąc wszystkie rekordy. Jakiś student z Nowej Zelandii codziennie zapytywał o zdrowie początkującego elektrotechnika z Islandii, albo solidny pan z Hawajów oświadczał o rękę „young lady” z Poznania. Fale krótkie stały się nagle magicznym dywanem z bajek wschodnich, a ciężkie kolubryny średniofalowe i długofalowe zaczęły się wydawać czytelnikom gazet i słuchaczom radia niepotrzebnymi i przestarzałymi zabytkami z epoki zakłajającej radiotechniki.

Wśród książek

STANISŁAW MIŁASZEWSKI: Bunt Absalona. Dramat w 10 odsłonach. Księgarnia św. Wojciecha, bez daty, Str. 209

LUDWIK HIERONIM MORSTIN: Misterium nocy majowej. Sztuka w 2 częściach z prologiem. Gebethner i Wolff, Kraków, 1937.

IRENA BUTKIEWICZOWNA: Powieści i nowele żydowskie Elizy Orzeszkowej. Praca magisterska. Tow. naukowe katolic. uniwers. lubelskiego. Lublin 1937. Str. 152.

ARTUR GORSKI: Niepokój naszego czasu. Zbiór szkiców. Nakł. komitetu wydawn. Warszawa 1938. Str. 315 + 2 nlb.

Teatry
Polski i Mały

Teatr Polski — dziś i dni następnych pełne werwy, humoru i sentymentu widowisko „Gatka Rozmarynu” Z. Nowakowskiego. Teatr Mały — dziś i dni następnych wysoce interesująca sztuka M. Morozowicz - Sczepkowskiej „Walcący się dom” w reżyserii Z. Ziembinskiego i w wyk. B. Samborskiego, Buszyńskiego, Grolickiego, Ziembinskiego oraz pp. Borowskiej, Małniczówny, Miczewskiej i Wilczówny.

Uwaga
dla Pań

Najwięcej zadowolona Wytwornej Pani daje mały Krem Ogórkowy Nr. 268 niezastąpiony pod puder i szminkę. Wyrobu Labor. Kosmet. Fr. Marynowskiego. i ski w Warszawie

JERZY MARIUSZ TAYLOR

23)

CZCICIELE
WOTANA
POWIEŚĆ

— Dobrze. Powiem panu, ale niechże wprerw usłyszę, czy przyjmie mnie pan do Związku.

— Ależ tak. Ma się rozumieć, że tak! — wołał gorąco dr Johnke. — Chociaż nie mogę ukrywać, że robi mi pan największą niespodziankę, panie pastorze.

Wstali obydwaj jednocześnie, jak na komendę, pozdrawiając się wzajem wyciągniętymi dłońmi.

— Heil Fuehrer!

— Heil Bruder Michels!

Po wymienieniu krótkiej formułki, ustalonej przez dra Johnke przy przyjmowaniu do Związku nowych członków, a podobnej (o wstydz!) do tych, które mają zastosowanie w większości łóż wolnomularskich, ceremonia była zakończona, i stary Wotan zyskał jeszcze jednego czciciela, też starego. W chwilę potem zaś dr Johnke, wzięwszy pastora na spyt, tym razem już jako jego zwierzchnik organizacyjny, mający prawo wymagać zupełnego posłuszeństwa od zaprzysiężonego członka Związku, dowiedział się ze zgrozą, że zdracą, który duszpasterzowi kolonii wydał tajemnicę istnienia tego zgromadzenia, był Oskar Knopf.

— Czy zna go pan dobrze, panie doktorze? — spytał pastor.

Nauczyciel skrzywił się gorzko.

— Zaprotegowałem go za pośrednictwem młodego Wilhelma Ernina i dzięki temu dostał miejsce stangreta u księżny Ostrogskiej. No, tak. Sądziłem, że znani go już dość dobrze, aby mu zaufać...

Pastor Michels zmienił nagle temat rozmowy, jakby mu zależało na tym, aby nie rozwodzić się zbyt długo nad tą dra-

liwą sprawą. Teraz poruszył zagadnienie wychowania młodzieży, w ogóle i w szczególności, chwalał metody dra Johnkego, zwłaszcza te wycieczki i zebrania, które były solą w oku starego Wilhelma Ernina, a które — jego zdaniem — mogły przynieść chłopakom nieskończone więcej korzyści, niż zwykłe zajęcia szkolne. A w miarę jak mówił, nauczyciel przypominał z wolna o swych troskach i nieoczekiwaniu dla siebie wpadł w zupełnie dobry humor, bo zaczęło mu się wydawać, że pozyskanie dla Związku pastora będzie jednym z jego najlepszych posunięć.

Stary kaznodzieja wiejski na usługach propagandy hitlerowskiej — to coś, o czym nie śniło się nikomu w amcie berlińskim. Złosiła wesołość ogarniała młodego nauczyciela na samą myśl o zdumieniu, w jakie wiadomość o tym wprawi jego wymagających mocodawców. Był jednak zbyt wytrawnym politykiem, aby zdradzić się ze swym zadowoleniem.

Poza tym wciąż jeszcze miał się na baczności. Tym więcej, że pastor wspominał mimochodem, że woli, aby jego przyłączenie się do Związku dla reszty członków pozostało na razie tajemnicą. Zastrzeżenie to nie wywarło korzystnego wrażenia na młodym nauczycielu, ale okazało się, na szczęście, jedynym zgrzytem, który uległ zapomnieniu już w następnej chwili, bo dalsza rozmowa dowiodła, że sędziwy pastor żywi poglądy zdumiewająco identyczne z poglądami samego dra Johnkego. Bagatela! Rzucił przecież myśl, że dla całkowitego zniemczenia młodzieży ich kolonii trzeba by chłopaków wysłać do Niemiec, chociażby na krótki pobyt.

To już było wprost zdumiewające. Dr Johnke miał dziwne wrażenie. Wydało mu się, że pastor zagląda mu do serca. Tylko, że ujmował to wszystko nieco inaczej.

— Tę dopiero chłopaki będą pełnymi pierściami chłonać ożywczą atmosferę kultury germańskiej, zwiędając wspaniałe muzea i stare zamki. Ja to najlepiej rozumiem, bo sam przecież, jako młodzieniec, odbyłem podróże do Bawarii i przywiozłem sobie stamtąd żonę — gwarzył rozmazany gorącym piwem. — Tak. Tylko w taki sposób zdołają nasi chłopcy pojąć wielkość Ojczyzny.

— Dobrze, panie pastorze — uśmiechnął się dr Johnke. —

Ja też jestem zdania, że pobyt w Niemczech jest dla tych chłopców niezbędny. Myślę o tym i martwię się, bo nie wiem, skąd wyostać tyle pieniędzy, aby wysłać ich tam po trochu wszystkich co do jednego. Ale po co im te muzea i zamki? Precz z tą tączęłą przeszłością, bracie Michels! Co dało nam, Niemcom, to całe średniowiecze? Rozrzućcie przelanie krwi w imię ideałów chrześcijańskich, w następstwie czego zagubiliśmy nasze własne — germańskie...

Urwał, bo wydało mu się nagle, że zagalopował się cokolwiek. Mówił przecież bądź co bądź do pastora. Ale pastor wcale nie wydawał się zgorzchny i słuchał chętnie, dr Johnke więc podjął dalej:

— Owszem, bracie Michels. Musimy sięgnąć do przeszłości, ale tej najdawniejszej, nieskażonej technieniem Wschodu. Musimy wrosnąć korzeniami w te czasy, kiedy jeszcze po ziemiach germańskich szumiały święte gaje dębowe, w których brodac patriarchowie rodów głosili wzniosłe prawdy młodym wojownikom, sposobiąc ich do przyszłych walk. Oto jedyna przeszłość, jaką winniśmy uznawać, a poza tym trzeba pracować tylko dla przyszłości. A to polegałoby na tym, że każdy z naszych chłopców musiałby w Niemczech odbyć okres Arbeitsdienstu, popracować dla dobra ojczyzny z łopatą czy kilofem w ręce, potem zaś wstąpić na ochotnika do niemieckiego wojska.

— Aha! — podchwycił z dziwną skwapliwością pastor. — Rozumiem. Chodzi więc o pozostawienie ich tam już na stałe.

— Skądże znowu? To przecież nie miałyby najmniejszego sensu. Dwa lata służby pracy — liczył dr Johnke. — Tak. Dwa lata Arbeitsdienstu i tyleż w wojsku. W sumie mamy cztery. Ze szkoły wychodzą, mając po szesnastu lat. W sam raz, aby powrócić dla odbycia powszechnego obowiązku wojskowego w Polsce.

— Jakże więc? — zdziwił się pastor i twarz jego wyraziła teraz coś w rodzaju rozczarowania. — A zatem nie chodzi o emigrację?

(D. c. n.).